

ANIOŁ STROŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Modlitewka majowa.

Módl się za nami

Najświętsza Panno!

My drobne prosim Cię dzieci:

O wietrzyk miły, o rosę ranną

I słońce jasno niech świeci;

I deszcz majowy niech rosi pola,

By rosły kwiatki i zboża,

By plon wydały drzewka i rola,

O, Matko Boża!

Módl się za nami

O Panno święta!

Ty dziątek Matko litosna!

Niech Twoja dobroć o nas pamięta,

Że życia kwitnie nam wiosna.

Niech łask Twych rosa krzepi nas małe,

By rosła gromadka hoża

Z pociechą ludzi, Bogu na chwałę

O, Matko Boża!

St. Kossowska.



Na kresach.

Opowiadanie z zamierzłej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Wyżki, było to miejsce pomiędzy pułapem a dachem, w którym poodzierany miejscami chrust przepuszczał światło i powietrze.

Na wyżkach takich sypiali wyrostki, co to ich jeszcze do cięższych nie zajmowano robót, lub też matka, głaszcząc a hołubiąc, dłużej przy sobie zatrzymać chciała.

Przywileju tego używał Ciarek, ukochane Złoniów dziecię. I oto wraz z Bodarem wdrapywał się po drabinie, kiedy tymczasem inni, co szli spać pod szopy, za nogi ich ściągali.

Zartów i śmiechu było co nie miara.

Ciarek był już prawie na środku, gdy któryś z odchodzących, uchwyciwszy go z drugiej strony przez szczeble, ściągał ku ziemi. Bodar wdarł się wyżej, lecz ujrawszy towarzysza w niebezpieczeństwie, przewinął się nad nim przez szczebel, a trzymając się drabiny, skoczył nagle na wzniesione ręce wyrostka, które Ciarka ściągały. Skokiem tym osłabił jego siłę i zmusił do puszczenia nóg towarzysza.

Ciarek, uwolniony, dalej się wdrapywał, a Bodar, uczepiwszy się szczebli nogami, wyżej jeszcze ponad rękoma zwinął się w kłębek, przewinął koziołka i od razu stanął na wyżkach.

Walczący przeciw wdrapującym się, widząc zrzeczność Bodara, od razu wzięli jego stronę.

— To ci chłopak! — rzekł śmiejąc się jeden.

— Wart misy polewki. — mówił drugi.

— Oho i łuku — dodawał inny.

— Nie na darmo chodzi z Dodkiem — mruknął pierwszy.

O Dodku bowiem, jako o bardzo starym i rozumnym, opowiadano w każdej chacie. Nie dziw więc, że wiedziały o nim pacholeta.

— Dam ja mu! — rzekł pokonany, ściskając grubą pięść w walce pokaleczoną.

— Eh, cicho niedźwiedziu! — mruknęli inni, dla których Bodar nabral wielkiego znaczenia.

Odwaga i zręczność Bodara również i w Ciarku podziw wzbudziła.

— Co, a ja myślałem coś ty niemy — rzekł Ciarek, nie mogąc wyjść z podziwu.

— Co, ty niemym mnie posądzasz? Niemy, to Niemiec, — zawołał Bodar.

— A no, oni straszni! — mruknął, otrząsając się Ciarek, a potem dodał:

— A ty zdawna tak chodzisz ze starym?

— Od śmierci Lecha. Jam wnukiem Lechowym.

— Oh, toś ty z Gniezda?

— A no.

— Ty syn tego Wyszomira, co chce być kneziem.

— Ba, i jest kneziem. Ale on nie mój rodzic. Ojcowie moi dawno już żyją z bogami, oni byli najmłodsi w chacie, a ja był przy Lechu, przy dziadu. Jak Lecha nie stało, jam z Dodkiem poszedł.

Oho! — rzekł Ciarek, słuchając. — Oho! — powtórzył — a ja cię za niemego miałem. Boć tu do nas przychodzą te Niemcy, przewracają językiem, a nikt nie wie, co znaczy ich mowa.

— To i po cóż przychodzą, kiedy się z nimi rozmówić nie można? — pytał Bodar.

— Ha, my nie możemy, a ojciec mogą. A że strach, jak oni zaczęli przewracać językiem — odparł Ciarek.

— Jam takich niemych nigdy nie widział — mówił Bodar. — A no wiem, że oni Wyszomirowego zabrali syna. Straszni być muszą.

— Oh straszni, ja ich się boję! — odparł Ciarek i drżeć począł.

— Naprawdę? — pytał niedowierzająco Bodar. — A no, Ciarek, drżeć przed nimi nie trzeba. Tyś chłopię tutejsze, jako i ja, ty strachać się nie możesz! Bronić się — dodał i pięść zacisnął, — wtem zawołano Ciarka i wszystko ucichło.

IX.

Nieopodal od Dodkowej zagrody pole złociło się dojrzałym zbożem. Za każdym powiewem wiatru, obciążone grubym ziarnem kłosa, z szumem całą falą schylały się ku ziemi, jakby dziękować chciały za soki, które z niej otrzymały.

Do połowy jednak pola kłosa te zaścielały już ziemię, lub powiązane stały szeregami, jakby czekając skinienia, które im w świat szerszy iść rozkaże.

Żniwa były rozpoczęte, a gdy słońko z za lasu wyrzało, rzucając jasne promienie, z zagrody wysypała się gromadka ludu i całym szlakiem stanęła na polu.

Starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, wszystko to szło na zagon do pracy.

U Słowian jako relniczego ludu, który w tych złotych ziarnkach wszystkie swe pokładał nadzieje, żniwo było najważniejszym zajęciem.

Od żniwa nie uchylały się nawet najstarsze i najbogatsze niewiasty, jak w ogóle wtedy nikt się nie uchylał od zajęć gospodarczych.

Praca stanowiła byt, bogactwo i siłę ludu, który w pierwotnym swoim rozwoju w miarę rosnących potrzeb dochodził do rozmaitych odkryć i wynalazków. Tą pracą Słowianie, obierając sobie ziemię pomiędzy wielkimi rzekami i nad jeziorem, zaprowadzili bardzo szybko jej uprawę, a zboże nie tylko wystarczało na potrzeby ludu, lecz zarazem było przedmiotem handlu.

Czas żniwa był zarazem uroczystością. Uroczystością, wprawdzie połączoną z wielkim mozołem, a jednak do tego mozołu i znoju każdy biegł z ochotą, bo wtedy najwięcej rozbrzmiewała pieśń, ta nieodstępna towarzysząca wszystkich w ogóle Słowian, w każdej chwili ich życia.

Pieśń więc przy żniwie rozbrzmiewała radośnie, odpowiadały jej szumem pobliskie lasy, a wtórował świągot ptaków, z których jedne niezadowolone, że im zbierają dostatnie pożywienie, narzekając hałaśliwie się zrywały, inne, ciesząc się, że w ustawionych kopach znajdują schronienie i pokarm, krążyły nad żeńcami, dopomagając im swoim świągotem. Inne nareszcie podążały za każdym zabranym kłosem, aby pożywić się uronionem ziarnem i nasycić bez wielkiego mozołu i jeszcze czasem z cudzej pracy korzystać.

(C. d. n.)



Głos sumienia.

Tuż przy wrotach wioskowych mieszkał dziadek staruszek w chatce nędznej, ubogiej. Przytulił on do siebie dwoje drobnych sierotek, dwóch chłopców ośmiolatków: Kubusia i Wojtusia.

Często gęsto dziadunio, wyplatając koszyki, rzeknie do wychowanków:

— Hej, chłopaki, słyszycie? turkot jakiś na drodze. A biegajcie co żywo, a bramę otwierajcie; może za waszą pracę jaki człek litościwy rzuci grosz lub dwa grosze.

Raz w zimowy poranek obaj chłopcy zbiegnięci siedzą sobie w okienku i na szyby chuchają — patrzą, kto z nich wychucha większe oczka na szybie.

— Cicho, cicho, Wojtusiu — nagle Kubuś zawoła. — Więc obaj zamilkli, przysłuchując się pilnie.

— Jada! — Kubuś powiada.

— Jada! — Wojtuś powtarza.

I skoczyli jak strzała i wybiegli na drogę.

Hej, hej! dziwoż bo dziwo! Pędzi czwórka gniadoszy z malowaną karetą.

Blyszczy uprząż złocona, blyszczy w słońcu kareta, dzieciaki szeroko otworzyły jej wrota.

Iskry lecą z pod kopyt, pędzą dzielne gniadosze, aż śnieg pryska do koła; a z bogatej karoicy wychyliła się pani i rzuciła chłopakom duży pieniądz blyszczący.

Pieniądz srebrny! mój Boże, to skarb wielki prawdziwy.

— Ale gdzie on, Kubusiu?

— Ale gdzie on, Wojtusiu?

Leciał, świecił jak gwiazdka i zniknął wśród śniegu...

— Żywo, żywo szukajmy, bo nam zginie na wieki.

Oj, szukają, szukają, każdą grudkę obejrzą, każdy rowek przepatrzą, w zimnym śniegu pełzają — ale wszystko daremnie.

Zginął, nie ma pieniążka...

Dziaduś stuka w okienko, woła głośno Kubusia. Wojtek sam tylko został. Przysiadł sobie na ziemi i rozgląda się wokoło.

Patrzy — aż pod kamykiem leży pieniądz blyszczący.

Co za radość, co za szczęście!

Chwycił Wojtuś pieniążek i położył na dłoni, chwycił, waży, ogląda, — a do serca młodego cheiwość wkrada się brzydka...

— Ten pieniążek mój będzie, nie oddam go nikomu! Schowam na dnie w kuferku, albo w szparę pod strzechą, aby Kubuś nie dojrzał, aby się nie domyślił, że ja pieniądz znalazłem.

Wybiegł Kubuś i pyta:

— Cóż, znalazłeś, Wojtusiu?

— Nigdzie, nigdzie go nie ma; zginął, przepadł na wieki — już nie warto go szukać, chodź się bawić, Kubusiu!

Kubuś westchnął nieboże, ale poszedł się bawić.

Minał dzionek na pracy, na wesołej zabawie i noc ciemna nadeszła.

Kubuś, ledwie przyłożył do poduszki głowinę, zasnął zaraz głęboko, we śnie widzi aniołka, bo uśmiecha się słodko.

Wojtuś zasnąć nie może, czegoś boli serduszko, czegoś głowa dolega. Wciąż się kręci, przewraca, oj i wzdycha głęboko. To sumienie go dręczy, że oszukał Kubusia.

Oszukaństwo — rzecz brzydka i grzech wielki przed Bogiem. Oj, pieniążku szkaradny, nie chcę, nie chcę ja ciebie!

Płacze rzewnie Wojtuszek i wnet budzi Kubusia.

— Przebac, przebac, braciszku — błaga z płaczem Wojtuś — ja ciebie oszukałem, ja znalazłem pieniążek i ukryłem przed tobą... Za tę cheiwość i kłamstwo Pan Bóg gniewa się na mnie i sumienie mnie dręczy, że wytrzymać nie mogę. Weź, weź cały ten pieniądz, niech go więcej nie widzę.

Kubuś ściska Wojtusia, razem płaczą serdecznie.

— I ja nie chcę pieniążka, kiedy taki nie-dobry, kiedy brzydkie pokusy do serduszka wprowadza. Ot weźmiemy go lepiej i dziadziowi oddamy.

Uściskali się chłopcy, przed obrazem ukłękli i pobożnie i gorąco odmówili paciorek.

A gdy Wojtuś przyłożył do poduszki swą głowę, zasnął smacznie głęboko, we śnie widział aniołka i uśmiechał się błogo.



Bociany.

— „Tatulu!“

— „Co tam?“

— „A spojrzcie ino...“

Ino nie w swoje dwojaki!...

Dziobiaste ptaki powietrzem płyną,

Skrzydłiska, kieby chustę, rozwina,

A srebrne, niby — śnieg jaki!“

— „Bociany!“

— „Dyć ja wiem, że bociany,

Wiem, że gdy pola się mają,

Na one łąki, na one łany,

Niby my do swej chaty słomianej,

Z tęsknicą wielką wracają.“

— „A jużci“

— „Haj! haj!.. grają, by dzwony,

W klekoty biją radosne —

Para za parą zbiega na strony,

K'sobie, od siebie, niby „goniony”...
— „A no! zwyczajnie na wiosnę!”

— „Tatulu!.. rzućcie jeno oczyma
Na ziemię słonecznie złotą —
Chałupy każdej bocian się ima,
Jeno na naszej nie ma i nie ma...”
— „Bo doli nie ma sieroto!”

Kazimierz Gliński.



Nauka czytania i polskiego pisanja.

Lekcja XVII.

Cwiczenia w czytaniu.
(Wyrazy jednozgłoskowe).

As, bór dom, wnuk, syn, most, funt,
chmiel, raj, ser, gość, kość, cień, sień, myśl,
grzyb, krzyk, rój, sól, śnieg, grzech, ząb,
sąd, zięć, część, sen, was, brat, łuk, plód,
krzyż, pułk.

Niech dziecko uczy się biegle czytać tych
liter z góry na dół, z dołu do góry, pojedynczych
wyrazów wedle wskazania.

Równocześnie niechaj uczy się pisać, najle-
piej ołówkiem w zeszyte z liniami.



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Łamigłówka arytmetyczna.
Jaś i Franuś podzielili między sobą 224

orzechy, w ten sposób, że jeden z nich otrzymał
tyle razy po 2 orzechy, ile drugi po 5.
Ile orzechów dostało się każdemu z nich?

II.

Szara da.

Pierwsze i trzecie — przy picu znajdziecie;
Drugie i trzecie — każdego na świecie
Człowieka trapi. W każdym pewno stanie
Chorują na to — panowie i panie.
Trzecie i drugie jest domu ozdobą,
Łączy się z więcej lub z jedną osobą.
Całość oznacza Polaków ubranie,
Które z postępem — idzie w zaniedbanie.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 17.

I.

Łamigłówka zgłoskowa.
Nie ma róży bez kolców.

II.

Zagadka obrazkowa.

	Kie	dy	ran	ne	
wsta	ją	zo	rze	To	bie
zie	mia			wiel	ki
To	bie			Bo	że
mo	rze			chwa	lon
To	bie	ście	wa	bańd	po
	ży	wioł	wszel	ki	

III.

Zagadka.
Czas — dzień i noc.

